COŚ WYCHAĆ

DWUTYGODNIK STRESZCZEŃ

..The.. Polish Fortnightly Digest



Nr. I. 5. I. 1944 6d.

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca

OKŁADKA: Widok na teatr z pod kolumnady Uniwersytetu.

Od Redakcji.

Tym Czytelnikom i Przyjaciołom naszego czasopisma, którzy przesłali nam życzenia Świąteczne, składamy na tym miejscu serdeczne podziękowania.

Życzymy Wszystkim szczęśliwego Nowego Roku i spełnienia w nim najgorętszych życzeń.

Z A G A D K A.
KŁOPOTY FINANSOWE /uł. A. W./

Józef, Andrzej i Bohdan mieli razem 4 zł. 50 groszy. Każdy z nich posiadał po dwie monety. Andrzej był winien Józefowi 50 groszy i Bohdan był winien Józefowi 50 groszy.

Gdy wymienili między sobą posiadane pieniądze, stwierdzili, że długi zostały uregulowane.

Jakie monety posiadał każdy z nich na początku ?

Rozwiązania prosimy przesyłać do dnia 21. I. 1944 r. Ogłosimy takowe w numerze trzecim.

Gruba Berta.



Działa rakietowe w akcji.

Propaganda niemiecka grozi odwetem za bombardowanie Niemiec, a szczególnie za Berlin. Los stolicy Niemiec ma być także udziałem Londynu. Tak przynajmniej twierdzi dr. Goebbels. Wobec tego jednak, że masowy atak powietrzny jest nader ryzykowny przy stanie dzisiejszej, potężnej obrony przeciwlotniczej Anglii, przeto Niemcy planują zbombardowanie Londynu z dział, ustawionych na wybrzeżu francuskim.

Czy to będą działa strzelające pociskami rakietowymi, czy też podobne do Grubej Berty z ubiegłej wojny, przyszłość pokaże.

W każdym razie warto przeczytać sobie, jak wyglądało bombardowanie Paryża, przeprowadzone przez Niemców w marcu 1918 roku z odległości około 110 klm.

Podajemy streszczenie według Catholic Digest - - autor Thomas Maguire.

W marcu 1918 roku wielkie pociski zaczęły padać na Paryż. Posiadały one dużą siłę wybuchową i z początku zupełnie nie można było się zorientować, skąd pochodziły. Pierwszy z nich trafił w wybrzeże Sekwany i nie spowodował żadnych strat w ludziach. Drugi upadł przy wejściu do metra i zabił ośm osób a zranił dwanaście.

Ludziom wydawało się zupełnie niepojętym, ażeby pociski te mogły przybywać z za linii frontu, oddalonego wtedy od Paryża o ponad loo kilometrów. Wkrótce stwierdzono jednak, że to nieprawdopodobne przypuszczenie jest niezbitym faktem.

Bombardowanie Paryża wywołało duże poruszenie w mieście. Myślano z początku że pociski rzucane są z nieprzyjacielskiego samolotu, latającego na dużej wysokości. Inne znowu plotki twierdziły iż Niemcy opanowali za frontem kilka francuskich dział, znajdujących się blisko miasta i ostrzeliwują z nich Paryż dla wywołania paniki.

Dowództwo francuskie ustaliło bardzo szybko po-

chodzenie pocisków. W ciągu kilku godzin sztab znał już dokładnie stanowiska niemieckich dział, ostrzeliwujących stolicę, a po upływie jednego dnia francuscy artylerzyści zdołali się z nimi uporać. W ciągu tego dnia Paryż bombardowany był bez przerwy w pewnych odstępach czasu.

Samoloty francuskie bez przerwy patrolowały nad Paryżem, szukając tajemniczych intruzów. Eksperci wojskowi odrzucili jednak szybko koncepcję bombardowania lotniczego, gdyż pociski padały tylko w północnej części miasta.. Przypuszczenie, że pociski pochodzą z dział, zostało potwierdzone, gdy jeden z nich przebił ścianę budynku i wybuchł dopiero po wybiciu dziury w podłodze. Otrzymane dwa otwory pozwoliły dokładnie ustalić kierunek, z którego przybył pocisk, oraz kąt jego upadku.

Poza tym obliczenia matematyczne oraz pomiary, dokonane przy pomocy aparatów podsłuchowych, doprowadziły do wniosku, że pociski przybywają z załamania frontu pod Laon. Zrobione przed kilku dniami dokładne zdjęcia lotnicze tego odcinka frontu ujawniły linię kolejową, prowadzącą do zalesionej przestrzeni, gdzie według obliczeń fachowców, powinny były znajdować się niemieckie, dalekonośne działa.

Wiedziano przy tym, że tak wielkie działa mogą być sprowadzone jedynie koleją. Powyższe obliczenia i dane fotograficzne, pozwoliły wykryć stanowiska dział, zwanych Grubymi Bertami.

Francuzi działali szybko. Zmontowawszy dwa działa na platformach kolejowych, zaczęli silnie ostrzeliwać odcinek, gdzie według kalkulacji winny były się znajdować niemieckie działa.. I rzeczywiście jeden pocisk, jak to się później wyjawiło, upadł w pobliżu z którejś z Bert i zabił oficera i kilku ludzi z obsługi.

W rejonie Laon, w gęstym lesie, ustawione były trzy Grube Berty. Olbrzymie niemieckie działa przywiezione i zmontowane zostały na upatrzonych stanowiskach w największej tajemnicy. Każde z nich stało na mocnej, stalowej platformie, wysokości 25 stóp. Wynalazek był dziełem jednego z wybitniejszych niemieckich fizyków, dr.von Eberhardt'a,współpracującego z dyrektorem zakładów Kruppa - Rausenbergerem.

Działa wykonane zostały dokładnie i precyzyjnie, jak zegarki. Donośność ich dochodziła do 80 mil.

Strzelanie na tak znaczne odległości wymaga specjalnych obliczeń. Dla ich przeprowadzenia wezwano nawet do pomocy astronomów. Poprawki niezbędne są z powodu obrotu ziemi, gdyż taki pocisk przebywa w powietrzu około trzech minut, w ciągu których cel przesuwa się lekko w kierunku wschodnim. Kulistość ziemi również musi być brana pod uwagę przy obliczaniu dokładnej odległości. Poza tym należy wziąść pod uwagę szybkość wiatru, temperaturę i gęstość powietrza.

Po każdych 50 strzałach lufa Grubej Berty musiała być przetaczana i skalibrowana w zakładach Kruppa, gdyż z powodu wysokiej temperatury i erozji, ulegała ona silnemu zniekształceniu. Pociski, ważące 265 funtów, wyrzucane były z lufy pod ciśnieniem blisko miliona funtów. Przeciętna szybkość pocisku wynosiła jedną milę na sekundę.

Cesarz Wilhelm był obecny przy oddaniu pierwszego strzału z Grubej Berty. Gdy jednak oddano strzał z trzeciego działa, zdarzył się wypadek. Działo rozerwało się i 15 ludzi zostało zabitych.

Olbrzymie niemieckie działa odegrałyby niewątpliwie wielką rolę w wojnie poprzedniej, gdyby nie pomoc amerykańska. Wspólna ofensywa wojsk sojuszniczych odrzuciła Niemców tak daleko, że Grube Berty nie mogły ostrzeliwać Paryża.

Żaden z sojuszniczych żołnierzy nie widział nigdy Grubej Berty. W czasie odwrotu Niemcy przewieźli działa z powrotem do zakładów Kruppa i tam je przetopili.

Nim traktat Wersalski został podpisany, wydano w Niemczech specjalną ustawę, traktującą ujawnienie szczegółów konstrukcyjnych Grubej Berty, jako zbrodnię stanu. Mimo to wywiad sojuszniczy potrafił wykryć i uzyskać pewne informacje.

Jednak rodzaj prochu, użytego do pocisków Berty, pozostał w tajemnicy. Dawał on większą siłę wybuchową, niż jakikolwiek inny rodzaj materiału eksplodującego, lecz tajemnicy tej nie zdołano odkryć aż do obecnej wojny.

Potęga Oświaty.

Nauka, wiedza i oświata są istotnymi dźwigniami postępu i szczęścia ludzkości. Zdanie to brzmi, jak komunał, a jednak jeszcze przez długi czas wyrażona w nim myśl pozostanie w sferze ideałów, gdyż ludzkość nie zdołała stworzyć tak doskonałych sposobów i metod działania, któreby ten ideał mogły urzeczywistnić.

Przechodząc do bliżej obchodzących nas spraw polskich, możemy stwierdzić że w przedwojennej Polsce powszechnie dojrzała świadomość, iż oświata i szkolnictwo są jedną z elementarnych i najbardziej rentownych inwestycji publicznych. Zrobiono w tej dziedzinie bardzo wiele, lecz w ciągu dwudziestu lat nie osiągnięto tak rewolucyjnych przemian, któreby zadecydowały o zbliżeniu nas do wymarzonego ideału.

Dziś stajemy wobec tego samego problemu, tym bardziej, gdy zdamy sobie sprawę jak wielkiemu kulturalnemu spustoszeniu uległy ziemie polskie w czasie tej wojny. Wyczucie ważności tego zagadnienia jest powszechne pośród młodego pokolenia polskiego i to zarówno w kraju, jak i na emigracji, zarówno w murach szkół i uczelni, jak i w szeregach wojskowych.

Dlatego też sądzimy, że będzie bardzo na czasie zapoznanie naszych Czytelników z rezultatami i metodami pracy wielkiego reformatora chińskiego, Y.C. James Yen'a, popularnie zwanego Jimmy.

Poniższe streszczenie opieramy na pracy J.P.MacEvoy'a p.t. "FREEDOM OF IGNORANCE".

James Yen pochodził ze starej rodziny chińskich uczonych i nauczycieli. Jego wielkimi nauczycielami w życiu byli: Konfucjusz, Chrystus, oraz chiński kulis. Wychowywał się on według starych wzorów tradycji: siedząc u stóp ojca, głośno się uczył ze starych chińskich ksiąg. Mając lat 10, znał na pamięć Cztery Księgi i Pięciu Klasyków, a ponadto niezliczone poematy, essay'e i komentarze do literatury chińskiej. Według naszych pojęć odpowiada to Staremu i Nowemu Testamentowi oraz kilku dramatom Szekspira, zacytowanym z pamięci przez 10-cio letniego chłopca.

Następne stadium - to pobyt w szkole misyjnej, gdzie uczono go przyrody, historii, geografii, języka angielskiego i gdzie poznał prawdy nauki Chrystusa. Jimmy osiągnął pierwsze miejsce na egzaminie konkursowym, nie dostał się mimo to na uniwersytet w Hong Kongu, gdyż nie był brytyjskim obywatelem. Wyjechał przeto do Ameryki i studiował na uniwersytecie w Yale, gdzie uzupełniał otrzymywane stypendium śpiewaniem hymnów w chórach kościelnych. Uniwersytet ukończył w 1918 roku i udał się do Francji, aby pracować w Y.M.C.A. opiekującej się armią dwustu tysięcy chińskich robotników, sprowadzonych do kopania okopów, naprawy dróg i pracy w fabrykach poza frontem. Jimmy przydzielony został do kāntyny w Boulogne, jako sprzedawca i tłumacz dla 5.000 kulisów. Pewnego dnia jeden z robotników poprosił go o napisanie do żony. Następnego dnia przyprowadził do Jimmy'ego trzech swych przyjaciół z tą samą prośbą. Wkrótce pisał on dziesiątki listów dziennie, wieczorami zaś odczytywał głośno dla całego obozu wiadomości prasowe.

Pewnej nocy wpadła mu do głowy następująca myśl: dlaczegoby nie spróbować nauczyć tych kulisów czytać i pisać, aby sami mogli załatwiać swe listy i czytać gazety. Przejrzawszy listy kulisów, stwierdził, że dla ich potrzeb wystarczający będzie słownik, złożony z 1.000 charakterów /charakter - znak, malowany pędzelkiem, wyrażający myśl, ideę lub zdanie/. Zwołał więc zebranie wszystkich kulisów i oświadczył im, że chciałby ich nauczyć czytać i pisać. Z początku nie uwierzyli mu. Literacki język chiński składa się z przeszło 40 tysięcy charakterów i w historii Chin nie było wypadku, aby chłopi chińscy, to znaczy 85% ludności Chin, potrafili go opanować i nauczyć się czytać i pisać.

Po długich namowach i zapewnieniach, że nauka będzie bezpłatna, zgłosiło się 40 robotników, to znaczy ilość równa dziesięciomilionowej części ludności Chin.

Jimmy pracował co wieczór jedną godzinę w ciągu czterech miesięcy. Przy ostatecznym egzaminie każdy z uczniów potrafił napisać list do domu oraz głośno przeczytać tekst, napisany na tablicy. Ich to-

warzysze pracy patrzeli w zdumieniu jeden na drugiego, jakby zobaczyli cud.

Następna grupa uczniów nie była o wiele liczniejsza. Podejrzliwość chłopska jest głęboko zakorzeniona. Jednak rezultaty pracy Jimmy'ego były tak oczywiste, że w końcu cały obóz zgłosił się do nauki.

Pewnego wieczoru przybył do obozu major Cole, kierownik pracy Y.M.C.A. Posłyszał on przyciszony zgiełk w całym obozie.

"To moi uczniowie uczą się głośno charakterów" - wyjaśnił Jimmy. "Jest to klasyczna metoda, używana przez wieki przez nauczycieli chińskich".

Major Cole przeszedł przez cały obóz, aby przyjrzeć się dokładnie temu niesamowitemu widowisku. Gdy wrócił, miał w oczach łzy, tak go ta wzruszająca żądza wiedzy kulisów poruszyła głęboko. Zapytał Jimmy'ego, czy nie podjąłby się zorganizować nauki we wszystkich obozach.

"Jeżeli mogę pracować dla 5.000 kulisów, dlaczego nie mógłbym uczynić tego dla 200.000 ?"

Jimmy pojechał do Paryża, zebrał tam ze wszystkich obozów 80 pracowników Y.M.C.A. z uniwersyteckim wykształceniem i przerobił z nimi swą metodę nauczania. Rozjechali się po całej Francji i zaczęli naukę tysiąca charakterów.

I tak kulisi opanowali sztukę czytania, lecz nie mieli co czytać, gdyż dotychczas nie było nigdy książek czy gazet, pisanych jedynie przy pomocy 1.000 charakterów. Jimmy zaczął więc wydawać Chiński Tygodnik Robotniczy. W tym czasie właśnie rozpoczęła się w Paryżu konferencja pokojowa i co tydzień Jimmy podawał w swym tygodniku, co ważnego zdarzyło się na świecie. W rezultacie uczniowie Jimmy'ego wiedzieli o traktacie Wersalskim tyle że samo, co uczeni i dyplomaci chińscy w Chinach.

"Zrobiło to na mnie ogromne wrażenie" - przyznawał się później Jimmy. "Był to początek idei politycznego wyszkolenia i wychowania mas. Te dwieście tysięcy kulisów we Francji reprezentowało istotny przekrój 400 milionów ludności Chin. Wyobraźmy sobie, coby to znaczyło dać im wszystkim naukę i oświatę - nikt przedtem nawet nie podejrzewał takiej możliwości. Musiałem znaleść się we Francji, aby

poznać mój kraj, będący republiką bez obywateli w pełnym tego słowa znaczeniu i musiałem od kulisów nauczyć się, jak można przy pomocy oświaty stworzyć uświadomionych obywateli. "Coo-lie"- znaczy dosłownie "cierpka siła". Teraz wiem, że muszę poświęcić swe życie oświeceniu mego narodu, gdyż tylko oświata uczyni jego życie mniej cierpkim i wydźwignie na powierzchnię jego utajoną siłę".

Po powrocie do Chin, Jimmy wybrał Changsha, miasto w Srodkowych Chinach, jako swą bazę operacyjną. Posiadał on wielkie wyczucie psychologiczne, zorganizował przeto swą kampanię oświatową przy użyciu wszystkich, dostępnych mu środków oddziaływania na masy. Mury miasta pokryte zostały afiszami: ociemniały podaje list rolnikowi do przeczytania mu. U dołu jest napis: rolnik również jest ślepy, gdyż nie umie czytać. Zorganizowano masowe pochody, zebrania i przemówienia. Składy towarowe, domy prywatne, lokale rozrywkowe i świątynie zamieniono na szkoły ludowe, w których nawet rolnicy uczyli się jedną godzinę przed świtem. Miasto zostało podzielone na dzielnice, studenci na zespoły rekrutacyjne, a wszyscy, którzy umieli czytać i pisać, przemienili się w fanatycznych nauczycieli. Z 14oo rolników na pierwszym kursie 965 zdało egzamin. Opanowali oni tak szybko pierwszą swą książkę do czytania, że Jimmy musiał na gwałt pisać drugą.

Przy pomocy wyszkolonych pomocników Jimmy przeprowadził podobne kampanie w innych miastach - wszystkie z powodzeniam. Każdy z tych ośrodków tworzył inne, nowe ośrodki nauczania. W całych Chinach zorganizowano towarzystwo oświaty ludowej z siedzibą główną w Pekinie i z budżetem rocznym aż 3.6oo! chińskich dolarów, co wynosiło 1.000 dolarów amerykańskich. Jimmy, jako główny kierownik otrzymywał 50 chińskich dolarów miesięcznie. Wraz z drugim urzędnikiem, pracującym pół dnia, tworzył on cały sztab, kierujący tym ogromnym ruchem w Chinach.

W 1938 roku Jimmy wyjechał do Ameryki na uroczystość nadania mu tytułu doktora "honoris causa" przez uniwersytet w Yale. Pozostał tam przez pewien czas i zebrał pół miliona dolarów od przemysłowców amerykańskich. Henry Ford, dając mu 10.000 dolarów, rzekł:

"Podoba mi się pańska idea i praca. Idzie pan tą samą drogą w dziedzinie masowej oświaty ludowej, którą ja poszedłem przy masowej produkcji samochodów". To powiedzenie Forda przypominało się Jimmy'emu, gdy krytycy zarzucali mu, że rezultaty jego pracy są zbyt powolne. "Jeżeli potrzeba 7 lat pracy, aby wykonać program nauczania w jednym okręgu" - mówiono - "a takich okręgów jest w Chinach 19oo, to potrzeba będzie 13.ooo lat pracy, aby wszyscy Chińczycy umieli czytać i pisać".

"Nic podobnego" - odpowiedział Jimmy. "Henry Ford potrzebował dużo czasu, ażeby zbudować ulepszony model swego pierwszego samochodu, lecz potem produkował go w milionach sztuk".

Jimmy powrócił do Chin z pieniędzmi i z dwoma podstawowymi, rewolucyjnymi ideami. Po pierwsze, każda teoria pedagogiczna musi być zbadana i wypróbowana w zbiorowisku ludzkim, w warunkach codziennego życia, a nie w szkole ze specjalnie dobraną grupą uczniów. Po drugie, każdą myśl nową, każde doświadczenie, należy wcielać w życie własną pracą i działalnością, a nie pisaniem książek na ten temat. Po 20 latach istnienia w Chinach masowego nauczania, nikt związany z tą działalnością, nie napisał jeszcze książki o tym - po prostu każdy jest zbyt zajęty realną pracą.

W Pekinie Jimmy zorganizował i przeprowadził masową emigrację profesorów - specjalistów w zakresie nauczania ekonomii, administracji, rolnictwa, zdrowia publicznego - emigrację z miasta na wieś, ze szkolnych sal w samo środowisko ludu.

Zabrał ich z pięknego Pekinu do nędznych wiosek na prowincji i tam wielcy uczeni, posiadający dyplomy zagranicznych uczelni, zamieszkali w glinianych lepiankach chińskich chłopów.

I wtedy Jimmy przekonał się, że nauczanie kulisów czytania i pisania było dziecinną zabawką w porównaniu do pracy doktorów filozofii, zmuszonych spopularyzować swą wiedzę i dostosować swe wykłady do poziomu intelektualnego chińskich chłopów.

Pewien doktór filozofii podjął się wybudowania wzorowego kurnika dla użytku chłopów. Dotychczasowe kurniki budowane były z gliny, z małymi drzwiczkami, przez które kurczęta mogły wejść, lecz nie mo-

gły z nich wyjść. Uczony zbudował wspaniały kurnik, wyposażony w blaszane wentylatory, druciane siatki i automatyczne drzwiczki.

Kurnik był doskonały, lecz nieosiągalny dla chińskiego rolnika, nie było bowiem skąd sprowadzić blaszanych wentylatorów. Profesor zmuszony był na nowo podjąć swą pracę i wybudował kolejno 10 typów kurników. Dziewiąty z rzędu wykonany był ściśle według wymogów nauki, lecz był z gliny i posiadał siatkę drucianą dla przewiewu. Lecz chłop chiński nawet gdyby chciał, nie potrafiłby się na nią zdobyć. Przeto dziesiąty kurnik, tym razem udany, był wykonany z gliny a siatka zrobiona z gałązek wikliny.

Lekarze, wychowankowie uniwersytetu John Hopkins'a, zostali przeszkoleni w praktycznym zastosowaniu na wsi nowoczesnych metod hygieny i leczenia zapobiegawczego. Każda wioska wybierała sobie wiejskiego sanitariusza z pośród absolwentów szkoły ludowej. Przechodził on 10-dniowe intensywne przeszkolenie w zakresie swych obowiązków. Polegały one na opiece nad studnią, zbudowaną według zasad hygieny, wydawaniu szesnastu najprostszych lekarstw z apteczki wiejskiej, stosowaniu prostych szczepionek i t.p. Po za tym prowadził on statystykę urodzin i zgonów. Spis ludności, przeprowadzany przez rząd, zawsze był niedokładny, gdyż chłopi przekonali się, że podawane przez nich informacje były wykorzystywane do poboru rekruta, albo też dla zwiększenia podatków. Obecnie zaś ich sąsiad, którego znali i któremu ufali, wykonywał tę pracę.

Wiejski sanitariusz dawał sobie radę z prostymi wypadkami chorób, a poważniej chorych odsyłał do pomocniczego ośrodka zdrowia, gdzie już był lekarz. Ten również ciężko chorych pacjentów wysyłał do głównego ośrodka zdrowia, który składał się z grupy lekarzy specjalistów i przeszkolonych pielęgniarek. Wiejski sanitariusz pracował honorowo, lecz cieszył się wielkim poważaniem we wsi, a na Nowy Rok otrzymywał od sąsiadów małe podarunki, wręczane z odpowiednimi przemówieniami. Ta pomysłowa organizacja wypleniła w ciągu dwuch lat w prowincji Ting Hsien jaglicę, ospę i wiele innych chorób, łatwo uleczal

nych przy stosowaniu odpowiedniej hygieny. Roczny koszt tej pracy wynosił 10 centów na człowieka.

Tego rodzaju metoda jest prosta i dająca łatwy sukces. Robiąc wszystko dla siebie własnymi siłami, ludzie uczą się współdziałać między sobą, co jest nieodzownym warunkiem rozwoju gospodarczego i późniejszego politycznego przygotowania. W szkołach starsze dzieci uczyły się codziennie pięciu charakterów, poczem po wyjściu uczyły młodsze dzieci tych że samych charakterów. Już w tym wieku można rozpoznać urodzonych nauczycieli i przywódców i można dalej kształcić ich w tym kierunku.

"Zaczęliśmy od zwalczania analfabetyzmu w Chinach" - powiedział Jimmy. "Lecz na co się to ludziom przyda, jeśli dalej będą tkwić w biedzie i nędzy po uszy. Zaczęliśmy więc ich uczyć lepszej uprawy roli, lepszej chodowli bydła, zbierania lepszych zbiorów. Wtedy jednak spostrzegliśmy, że co zyskiwali jako lepsi rolnicy, tracili, jako kiepscy kupcy. Musieliśmy ich więc zacząć uczyć zasad prawidłowego handlu."

Dziekan szkoły handlowej w Pekinie przeniósł się na wieś do lepianek i w ciągu trzech lat opracował prosty i niezawodny system rachunkowości rolniczej, zrozumiały dla każdego rolnika. Gdy rolnicy poznali tajniki handlu, poziom gospodarczy prowincji Hsien podniósł się gwałtownie. Jedynie w zakresie uprawy bawełny wartość produkcji podniosła się ze 120 tysięcy dolarów w 1932 r. do 1.800 tysięcy dolarów w 1937 roku. W owym czasie było już 80.000 wychowanków szkół ludowych i setki spółdzielni wiejskich, połączonych razem w jedną wielką spółdzielnię prowincjonalną. Z całych Chin przybywali działacze społeczni i studiowali ten ciekawy eksperyment. Wielu z nich, około 800 razem, rozpoczęło po powrocie tę samą pracę w swoich prowincjach.

Gdy w 1938 roku Hankow stało się stolicą Chin, generał Chiang Kai-Shek mianował obrońcę Szanghaju, gen. Chang Chi-Chung'a, gubernatorem prowincji Hunan i polecił mu zorganizować jej obronę przeciw inwazji japońskiej. Gen. Chang słyszał już o sukcesach Jimmy Yena w zakresie nauczania ludzi współdziałania między sobą i zaprosił go do zorganizowania wed-

dług swej metody prowincję Hunan,liczącą 30 milionów ludzi.

Na to tylko czekał Jimmy.Zabrał ze sobą dobrany zespół współpracowników i zmobilizował na miejscu 30 tysięcy pomocników;w tym 5.ooo uczonych,profesorów i nauczycieli ludowych-uciekinierów z innych prowincji.Zorganizował szereg kursów i zaczął szkolić urzędników sądowych,miejskich i administracyjnych. Nowy system administracji przewidywał 5 działów:sprawy publiczne,oświatę,finanse,zdrowie i sprawy gospodarcze. Z tych 30 tysięcy ludzi przygotował zespoły urzędników administracyjnych i technicznych, którzy objęli zarząd prowincji. Oficerowie, przyjeżdżający z frontu, wyrażali się z wielkim uznaniem o współdziałaniu i pomocy, jakich doznali ze strony tych przeszkolonych urzędników oraz powołanego przez nich do życia samorządu lokalnego.

Tymczasem gdy Ting Hsien przygotowywał się do przeprowadzenia demokratycznych wyborów,pierwszych w historii Chin, nastąpiła inwazja japońska. Ośrodki oswiaty ludowej mas przeniosły się do prowincji Hunan, a później do prowincji Szechwan. Pozostała zaś na miejscu ludność,przygotowana do nowych zadań przez system masowego nauczania, wykazała nadzwyczajne dowody męstwa i wytrwałości w partyzanckiej walce z najeźdźcą. Wioski przechodziły z rąk do rąk siedmiokrotnie i z 472 wsi, z których każda posiadała szkołę ludową tylko 30 wzdłuż linji kolejowej pozostało w rękach japońskich.

Obecnie zastosowany w Ting Hsien system hygieny publicznej wprowadzono w całym kraju, a na polecenie gen.Chiang Kai-Sheka system administracji i samorządu, zastosowany w prowincji Hunan, został przyjęty jako wzór przy powojennych planach rekonstrukcji kraju. Od początku wojny 27 milionów Chińczyków nauczyło się czytać i pisać i Jimmy sądzi, że w ciągu 10-u lat uda mu się wyplenić analfabetyzm.

Również wiele innych organizacji pracuje w zakresie oswiaty, zdrowia publicznego i spółdzielczości. Jimmy Yen przyznaje sam wielką zasługę ambasadorowi Hu Shih i innym uczonym,którzy porzucili starą tradycję pisania jedynie w klasycznym chińskim języku, a natomiast zaczęli pisać książki w potocznie uży-

wanym, ludowym języku Pai Hua. Lecz zasługą Jimmy'ego jest, że praktycznie wykazał, iż przy pomocy języka Pai-Hua można wykształcić masy ludowe i tym samym urzeczywistnić wizję Sun Yat-Sena - oświeconych i demokratycznych Chin.

Przed kilku laty generał Chiang Kai-Shek wezwał Jimmy Yen'a do stolicy, wiedział już bowiem wiele o jego pracy oświatowej i społecznej, przez którą 4oo.ooo nieoświeconych chłopów zamienił na swych gorliwych współpracowników.

Rozmawiali przez trzy dni i każdego rana pani Chiang mówiła do Jimmy'ego: "Z wielkiego podniecenia generał nie mógł spać w nocy".

Pomimo ciągłego bombardowania Chungkingu, Chiang Kai-Shek, zdając sobie sprawę, co oznacza system masowej oświaty dla przyszłości Chin, wytrwale nalegał, aby nie przerywano budowy gmachu państwowego kolegium dla szkolenia personelu administracyjnego i technicznego. Dał na ten cel Jimmy'emu milion dolarów ze słowami: "Żałuję, że nie mogę dać więcej. Musimy poczekać do lepszych czasów. Będę popierał pana pracę wszystkimi siłami".

W maju tego roku odbyło się w Carnegie Hall w Nowym Yorku wspaniałe zebranie uczonych z powodu czterechsetlecia urodzin Kopernika. Oddano tam wtedy hołd wielkim, współczesnym rewolucjonistom w dziedzinie wiedzy i nauki. Zostali zaliczeni do nich Einstein, Disney, Ford i...Jimmy Yen. Ten ostatni zakwalifikowany został jednomyślnie przez komitet organizacyjny.

Nie wiedziano gdzie się on znajduje. Tymczasem zjawił się Jimmy w Waszyngtonie na 10 dni przed uroczystością wraz ze specjalną misją, która miała zapoznać się z planami powojennej rekonstrukcji świata.

Jimmy Yen jest człowiekiem prostym,podobnie jak i jego metody pracy. Drobny, miły i delikatny - fizycznie przypomina swój rodzinny bambus. W sprawach małej wagi zawsze ustępuje i tym zwycięża. Lecz gdy się podnieci namiętnością swej misji i swych przekonań, przemówienia jego mają siłę magnetyczną, a czarne oczy jego błyszczą wewnętrznym ogniem. Podobny jest wtedy do biblijnych proroków

Starego Testamentu.

"Dwie trzecie ludzi na świecie należy do kasty kulisów" - brzmiało jedno z jego przemówień. "Żaden naród nie może wznieść się ponad poziom swych mas. Dopóki te masy ludzkie, które są najbogatszym i najbardziej nie wykorzystanym skarbem świata, nie rozwiną swego życia dzięki oświacie, dopóki nie nauczą się same brać udziału w swym własnym rozwoju - nadaremnie przywódcy świata będą wołać pokój! pokój! - lecz pokoju na świecie nie będzie".

"Oświata masowa może uczynić każdego pełnym człowiekiem, a gdy osiągnie on ten stopień rozwoju, stanie się bratem innego człowieka. Wierzę w to, że narody potrzebują tego rodzaju oświaty dla demokratyzacji świata, jak również i dla pokoju. Dlatego też musimy walczyć nie tylko o osiągnięcie czterech wolności, lecz i o tę piątą - największą ze wszystkich wolności, gdyż bez niej nie możemy mieć czterech poprzednich - a jest nią uwolnienie się od niewiedzy i ciemnoty!!'

Mięso przyszłości...

Z St. Louis w Stanach Zjednoczonych przyszły sensacyjne wiadomości. W zakładach firmy Anheuser - Busch co 12 godzin wytwarza się tonę doskonałego mięsa o soczystości i smaku befsztyka z polędwicy. Syntetyczne mięso produkuje się tak łatwo, że uczeni sądzą, iż przy pomocy tego nowoczesnego cudu pomnażania żywności będą mogli nakarmić po wojnie wielu głodnych ludzi na świecie.

Nowy produkt to nic innego, jak pewien gatunek drożdży, który przez dodanie odpowiedniego smaku i zapachu,niczym nie różni się od naszego normalnego pożywienia. Drożdże te są lepszym pokarmem niż mięso. Zawierają bowiem duże ilości witaminy B i dwa razy tyle proteiny co mięso.

Trzy lata temu chemik brytyjski A.C.THAYSEN rozpoczął badanie nad możliwościami użycia drożdży jako pożywienia. Wynalazł nowy gatunek drożdży, posiadający przyjemny smak orzechów. Można je produkować w cenie 10 centów za funt i rząd brytyjski buduje na Jamaice fabrykę, obliczoną na produkcje 2000 ton rocznie. THAYSEN przewiduje, że jego drożdże

w skoncentrowanych dawkach będą dodawane do pożywienia ubogiego w składniki odżywcze. Nie ukrywa przy tym, że jego wynalazek może wywrócić do góry nogami całe zagadnienie wyżywienia ludności.

Tę samą myśl podjął Karol Lindergren, młody uczony na uniwersytecie Waszyngtona w St. Louis. Postanowił on wyprodukować drożdże o różnych smakach i zapachach, które będą przypominały podstawowe produkty żywnościowe. Przez krzyżowanie i mieszanie różnych gatunków drożdży, uzyskał on produkty o nadzwyczajnym smaku i możliwościach odżywczych.

Proces wytwarzania jest stosunkowo prosty. Do kotła, zawierającego 7.000 galonów wody kładzie się 125 funtów drożdży, półtorej tony melasy /cukier zawarty w melasie potrzebny jest do rozwoju drożdży/ oraz pewną określoną ilość amoniaku /zawarty w nim azot wytwarza z drożdży proteiny/. Mieszanina ta jest nasycana powietrzem, dostarczanym w ilości tysiąca stóp sześciennych na minutę /bez powietrza drożdże spowodowałyby fermentację cukru/. Po 12 godzinach wytwarza sią bardzo smaczne pożywienie, przy czym pierwotna waga drożdży powiększa się 16-o krotnie. Otrzymany produkt, w surowej, niegotowanej formie ma postać suchego, brunatnego proszku o smaku mięsa, orzechów lub selerów, zależnie od jakości. Firma ANHEUSER - BUSCH urządza pokazy potraw, które mogą być przyrządzone z tego proszku: mięsa, zupy, grzanki, serowniki a nawet paszteciki.

Zakłady ANHEUSER - BUSCH zamierzają produkować miliony ton tego proszku. Armia St. Zjednoczonych oraz organizacja Lend and Lease Bill zakupuje go w wielkich ilościach. W stosunku do ilości zawartej proteiny koszta produkcji sztucznego mięsa wynoszą zaledwie jedną piątę kosztów mięsa zwykłego. Wkrótce przekonamy się, czy słuszne są przypuszczenia różnych ludzi, że hodowla bydła przestanie się opłacać i przejdzie do historii.

/Streszczone według Time/



Prawa kobiet...



Korespondentka News Chronicle - Louise Morgan zadała Bernardowi Shaw sześć pytań w związku z wyrokiem brytyjskiego sądu, orzekającego, że żona, otrzymująca od męża pieniądze na gospodarstw domowe, nie może z nich robić żadnych oszczędności na swoje osobiste konto.

Oto sześć zadanych pytań i odpowiedzi, wydrukowanych p.t.: THE RIGHTS OF WOMEN NOW by Bernard Shaw.

Pytanie 1.

Czy mógłby pan podać jakieś środki prawne, które wyrównałyby obecne upośledzenie kobiet pod politycznym, socjalnym i prawnym względem ?

Odpowiedź.

Kobiety obecnie nie są upośledzone pod żadnym względem. Ruch kobiecy, rozpoczęty w 19-tym stuleciu przez Mary Wollstonecraft, a zakończony ustawą o "Własności Zamężnych Kobiet", uprzywilejował kobiety w ten sposób, że dzisiaj mężczyzn możemy uważać za upośledzonych. Pytanie pani jest przeto nie na czasie.

Pytanie 2.

Czym da się wytłumaczyć opiekuńczy stosunek Anglików do kobiet?

Odpowiedź.

Nic podobnego nie istnieje. Mężczyźni panicznie boją się kobiet i nie bez powodu.

Pytanie 3.

Gdyby pan, jako minister pracy, zwołał wiec, złożony z 5.ooo kobiet, co by im pan wtedy powiedział?

Odpowiedź.

Powiedziałbym im to samo, co powtarzam stale w

ciągu 4o lat:

Należy brytyjską konstytucję poprawić w ten sposób, żeby każda instytucja publiczna rządzona była przez mężczyzn i kobiety w równej liczbie, bez względu na to czy są wybierani, czy też powoływani. Tymczasem kobiety nie potrafiły wprowadzić do parlamentu swoich przedstawicielek, pomimo iż wiele, nader zdolnych kobiet walczyło o miejsca.

Pytanie 4.

Czy sądzi pan, że pani domu winna posiadać odrębną, prawnie gwarantowaną, pozycję gospodarczą?

Odpowiedź.

Ona już to posiada. Kraj jest opanowany i prowadzony przez kobiety.

Jeżeli mężczyzna odbiera pobory swoje i swojej żony jest on wtedy jej powiernikiem. Jeżeli wydaje te pieniądze na wódkę lub na wyścigi psów, zamiast przynieść je do domu, winien jest nadużycia zaufania. Ale również kobieta, wydająca w tenże sposób, lub na fatałaszki pieniądze, otrzymane na gospodarstwo, jest defraudantką.

Jest to wogóle trudny problem. W każdym wypadku może on zniszczyć pożycie małżeńskie. Tego rodzaju defraudacje powinny być jednym z dostatecznych powodów do rozwodu.

Pytanie 5.

Czy powołanie obecnie do służby publicznej kobiet przyniesie im jakieś korzyści?

Odpowiedź.

Mobilizacja kobiet przeprowadzona była z musu dla przeciwstawienia się nieprzyjacielowi. Nie było to uczynione dla korzyści kobiet czy kogokolwiekbądź innego. Wielu kobietom może jednak przynieść korzyść - może już przyniosła - tak zresztą, jak burza gradowa przynosi pożytek szklarzom, jeżeli grad jest dość silny.

Pytanie 6.

Jaki zakres działalności możnaby powierzyć kobietom w przyszłej pracy rekonstrukcyjnej ?

Odpowiedź.

Każdy, tak jak mężczyznom! Wszystkie zawody i kunszty powinny stanąć otworem przed tymi kobietami, które nie posiadają zamiłowania do pracy domo-

wej. Takie że prawo winni mieć mężczyźni, nie pragnący poświęcić się pracy w przemyśle, atletyce czy też w wojsku. Potrzebujemy wszystkich zdolnych ludzi z ich zasobami idei i pomysłów oraz energii i rzutkości...

Śpiewająca śruba.

William Kerr, profesor inżynierii na politechnice glasgowskiej, pomógł marynarce brytyjskiej rozwiązać pewien problem, który w dużej mierze przyczynił się do zwycięstwa w Bitwie o Atlantyk. A stało się to w czasie najbardziej może krytycznym tej bitwy. Podajemy poniższe streszczenie, zgodnie z opisem, ogłoszonym w swoim czasie w Scottish Sunday Express.

Profesor Kerr, pracujący bez przerwy dzień i no noc, rozwiązał wreszcie problem t.zw. "śpiewającego propelera".

Problem ten męczył różnych fachowców w ciągu dziesiątków lat. Rozwiązanie go przez prof.Kerra uczyniło bezpieczniejszym przejazd przez Atlantyk, dzięki czemu oszczędzono wielu ludzi, oraz dostarczono więcej surowców i żywności do Wielkiej Brytanii.

Niektórzy twierdzą iż rozwiązanie tego problemu ma takie samo znaczenie w walce z łodziami podwodnymi, co działa okrętowe i bomby głębinowe. W ten sposób geniusz jednego Szkota dopomógł W.Brytanii w ciężkiej zaiste wojnie morskiej.

Śruba okrętowa nowoczesnego statku czy okrętu, wykonana jest z bronzu, używanego zwykle do odlewu dzwonów kościelnych. Kształt jej jest podobny do śmigła samolotowego. Lecz śruby te zachowują się podobnie jak dzwonki kościelne czy piszczałki organów: w czasie swej pracy wydają stały lub przerywany ton o przeróżnych muzycznych dźwiękach.

Niektóre z tych śrub oddają jeden dźwięk pojedynczy w czasie pełnego obrotu, inne znowu grają bez przerwy. Niektóre grają cicho...Są jednak i takie, które robią tyle hałasu, że załoga okrętu nie może spać.

Nawet w czasie pokoju taka śruba mogła uprzykrzyć życie. W czasie wojny staje się ona niebez-

pieczną. Na wiele mil daje ona znać czatującym stadom niemieckich łodzi podwodnych o zbliżaniu się konwoju.

Śpiewająca śruba na morzu jest czymś w rodzaju dzwonka w lesie. Przez hydrofony słychać ją świetnie na dużą odległość i dźwięk ten dopomaga do ustalenia dystansu, w jakim znajduje się konwój od atakującego go nieprzyjaciela.

Gdy w Ameryce rozpoczęto budowę seryjnych dziesięciotysięcznotonowych statków handlowych, śpiewające śruby były ich Achillesową piętą.

Eksploatowanie tych statków było nie tylko niepraktyczne, ale wprost niebezpieczne.

Szczęśliwym trafem jeden z pierwszych z tych statków, skądinąd wspaniałych i świetnie wyekwipowanych, znalazł się w dokach na Clydzie. Zwrócił na niego uwagę przebywający tam w tym czasie urzędnik Admiralicji, który wiedział że w Glasgowskiej Politechnice prowadzone są od lat studia pod kierownictwem profesora Williama Kerra, dla rozwiązania tego problemu.

Wezwany profesor rozpoczął swą pracę w dniu zadokowania statku. Zrobił sobie dokładny rysunek śruby i odjechał do Instytutu. - Pracował całą noc.

Rano posiadał rozwiązanie problemu. Zaprojektowana nowa śruba nie powinna była wydawać żadnych dźwięków. Projekt jej był gotowy. Przesłano go do odpowiednich warsztatów dokowych, gdzie pracowano nad wykonaniem jej dzień i noc.

Gdy już statek gotowy był do powrotnej drogi, wypróbowano nową śrubę na rzece Clyde na różnych szybkościach. Próba wypadła doskonale: nowa śruba nie wydawała najmniejszego głosu.

Wtedy dopiero zebrani na statku inżynierowie zrozumieli, jaki osiągnięto sukces. Rozwiązano nareszcie problem żartami zwanych "śpiewających propelerów".

Instrukcje profesora Kerra przetelegrafowano natychmiast do Ameryki, a specjalny kurier zawiózł samolotem rysunki i obliczenia.

Następne statki wyposażone już zostały w ciche śruby, a na statkach starszych przy pierwszym nadarzającym się momencie zamieniano śruby stare na nowe

Jednym z takich wspólników będzie właśnie towarzyszący mu młodzieniec, p.Król. Na Słowacji jesteśmy narażeni na okropny wyzysk, i napewno znajdziemy się nieraz w takich sytuacjach, kiedy targować się nie można. Wprawdzie udaje się ludziom czasami przedostać bez pieniędzy, ale to są szczęściarze, a on ze względu na poprzednie złapanie, już ryzykować nie może. Zgadzam się z nim zupełnie ze względu na udział w wyprawie jedynaka. Bez Jurka poczynałbym może ryzykowniej i prędzej, ale z nim chciałem postępować tak, aby mieć pewność, że wszystkie okoliczności zważyłem i zrobiłem dla jego bezpieczeństwa wszystko, co mogłem, w stu procentach.

Postanawiamy więc przede wszystkim wyprzedać całkowicie wszystkie zbędnie obciążające nas rzeczy. Idzie więc na stół mój zegarek, kożuszek Jurka /mając płaszcz, zgrzeje się w marszu zanadto/. Moje nowe buciki, które zabrałem ze sobą, aby po Krakowie nie chodzić w filcowych butach, i nakoniec główna rezerwa, to jest złoty zegarek Tomka. Zegarek ten, Kazik obiecał zaproponować do nabycia jednemu ze swoich znajomych, bo jako rzecz rzeczywiście wartościowa, nie może być sprzedawany "na Żydach" i to prędko. Wszystkie inne rzeczy odnosimy do pana M., który je sam sprzedaje na mieście, i przynosi nam gotówkę. Jednocześnie tego samego dnia, na naszą propozycję, władze partyjne P.P.S. odpowiadają, że zgadzają się, aby "towarzysz Król" przyłączył się do nas i asygnują mu na podróż 1ooo złotych. Towarzysz Król, jest to pseudonim mieszkającego u pana M. atletycznego młodzieńca. Ma on mieć również polecenie do organizacji partyjnej w Nowym Sączu, więc jeśli organizacja profesora nie dopisze, to tamci nam pomogą. Przy tych pertraktacjach, załatwiamy również sprawę jakichkolwiek dokumentów dla profesora, które ma nam dostarczyć organizacja P.P.S.

Tak więc wszystko składa się dobrze i piszę do żony, że "sanna się poprawiła", prosząc jednocześ-

nie żonę Kazika, aby po naszym wyjeździe i otrzymaniu kartki z Nowego Sącza, zawiadomiła też od siebie moją żonę w umówiony sposób, że poszliśmy.

Zrana szyję, pakuję, opatruję Jurka, słowem jak mogę przygotowuję wszystko do drogi. Potem zaś robimy z profesorem odprawę dla wszystkich członków wyprawy, aby przygotować się na wszystkie ewentualności.

Profesor ma już doświadczenie ze swojej poprzedniej wyprawy. Badanie w Muszynie odbywa się tak: delikwentów ustawia się w szeregu i każe się im wyłożyć do czapki na ziemi wszystkie posiadane rzeczy, a potem rozebrać się do naga. Po wykonaniu tego, kilku gestapowców wszystkie rzeczy numerują i zabierają, stawiając ten sam numer na plecach właściciela. Badani idą do składania zeznań nago. Wszystko to dzieje się przy kilkunastostopniowym mrozie, na betonowej posadzce.

Zeznajemy, że byliśmy na Węgrzech w cywilnym obozie i teraz wracamy do domu. A dlaczego na Słowacji mówiliśmy, że idziemy z Polski na Węgry? Bo przypuszczaliśmy, że odstawią nas "z powrotem" do Polski. Trzeba ułożyć sobie bajeczkę dokładną, obejmującą czas od wyjazdu z domu, dzień po dniu. Trzeba więc wiedzieć gdzie się przekroczyło granicę węgierską, kiedy, którędy się jechało i czym. W jakim obozie byliśmy? Balatonie. A u kogo mieszkaliśmy? U rejenta, nazywa się Barcsa Soltan, naprzeciwko cmentarza. A jaki u niego w mieszkaniu rozkład pokoi? Uczę Jurka, że taki sam jak tu u Kazika. Żeby się dobrze przypatrzył to nie będziemy mieli trudności w składaniu jednakowych zeznań. Gdyby czegoś nie wiedział to ma płakać i nie odpowiadać. Dalej może być cały szereg niespodziewanych zapytań np.: czy w Balatonie są tramwaje, albo jakiego koloru są tramwaje w Budapeszcie. Albo jak jest po węgiersku chleb lub inny przedmiot codziennego użytku.

Następnie przychodzą na stół zrewidowane rzeczy. Badający gestapowiec zapytuje:

- Jak wyjeżdżałeś z Polski był upał, a skąd masz zimową czapkę?

- W komitecie dali.
- A dlaczego firma wewnątrz czapki zdarta ? Była przecież przyszyta, widać nitki.
- Bo jestem łysy i złamany celuloid mnie drapał.

Następna tortura to zwilżanie całego ciała gąbką ażeby stwierdzić, czy nie ma jakich napisów na skórze.

Po tym wszystkim następuje decyzja, która może być trojaka. Albo kula w łeb, tuż zaraz na podwórzu, albo zamknięcie w celi, jako kandydata na wyjazd do obozu w Niemczech, albo jeżeli wszystko uda się dobrze, wypuszczenie na wolność, t.j. wyrzucenie za drzwi na "zbity pysk". Wszystko zależy od sposobu zeznawania i od szczęścia. Najmniejsze podejrzenie, albo zacięcie się w zeznaniach, wywołuje bicie a taki katowany już jest właściwie skończony, bo z niego wybiją wszystko, co zechcą.

Każdy z nas układa sobie bajeczkę i egzaminujemy się nawzajem. Potem przeprowadzamy szczegółową rewizję rzeczy, do guzików przy zimowych ubiorach włącznie. Moja książeczka oficerska i zbiór znaczków pocztowych Jurka /mogą być uważane za znaki szpiegowskie/, mają pozostawać w zewnętrznej kieszeni palta, tak aby przy najmniejszym niebezpieczeństwie można je było, wyjmując ręce z kieszeni, wyrzucić w śnieg i zadeptać.

Wszystko wydaje się w porządku, i kiedy Kazik przyprowadza nabywcę na zegarek, uważamy że przygotowaliśmy się do drogi należycie. Nabywca zegarka oświadcza nam, że ponieważ chcieliśmy za niego 12oo złotych więc przyniósł je, ale zegarka nie chce. Chce po prostu przyczynić się do sprawy publicznej, dopomagając kilku oficerom do przedostania się do armii generała Sikorskiego. Dziękujemy serdecznie i gwałtem pchamy mu zegarek do kieszeni. Jest ładny i szkoda go zmarnować. Na wypadek potrzeby kupiliśmy dzisiaj kilka najzwyklejszych złotych pierścionków, które, jak się znajdziemy za granicą, odegrają rolę waluty. Wieczorem, serdecznie żegnani i błogosławieni przez znajomych, wyruszamy. Ostatnie słowa wszystkich żegnających były:

- A wracajcie prędko!

&

Jedziemy znowu na Nowy Sącz, ale teraz przez Tarnów. Z Nowego Sącza ruszymy na Szczawnicę, gdzie profesor ma kontakty z ludźmi z organizacji. Szczawnica ma jeszcze tę korzystną stronę, że niema tam Ukraińców.

Najbliższy kłopot to zakwaterowanie w Nowym Sączu do czasu porozumienia się z przyjaciółmi profesora w Szczawnicy. My trzej mamy możność zatrzymania się u naszych poprzednich gospodarzy, ale profesor i Król muszą sobie kwater szukać. No, ale mają przecież adresy swoich organizacji, więc chyba im tam pomogą. W Tarnowie czekamy kilka godzin w hali, natłoczonej żołnierzami, ale wszystko mija pomyślnie i rano jesteśmy w Nowym Sączu.

Po zakwaterowaniu się idziemy na zbiórkę do znanego profesorowi baru, gdzie może spotkać się z potrzebnym mu człowiekiem. Profesor i Król poszli potem szukać swoich ludzi, my zaś pijemy herbatę i czekamy.

Pierwszy wraca profesor z młodym studentem "Zbyszkiem", po chwili zaś i Król. Ku uciesze nas neutralnych okazuje się, że biało-narodowa organizacja profesora i czerwono-socjalistyczna towarzysza Króla, składają się z tych samych ludzi, czyli że "endek" z "pepeesem" rączka w rączkę razem, stanowią po prostu organizację "Polską".

Student wyjaśnia, że sytuacja pogorszyła się o tyle, że Niemcy nie pozwalają teraz nikomu obcemu przyjeżdżać do miejscowości granicznych, jak Szczawnica i pilnują mocno autobusów na drogach i przystankach. Wszyscy, nie pochodzący z miejscowej gminy są niezwłocznie aresztowani. Na głównej ulicy w Szczawnicy stale krąży patrol i legitymuje przechodniów. Wobec tego zmuszeni jesteśmy udać się do Szczawnicy na przełaj przez góry i to pieszo. Dzisiaj zawiadomimy kogo należy o naszym przybyciu, a samochód, który przybędzie stamtąd za trzy dni, przywiezie odpowiedź i ewentualnie i przewodnika.

Ciężka i niebezpieczna praca tych młodych ludzi w Nowym Sączu, nie pozbawiona jest czasami i momentów komicznych. Ostatnio naprzykład był wypadek następujący.

Niemcy wyznaczyli na burmistrza czy jego zastępcę

miejscowego Ukraińca. Człowiek prosty, zupełnie nie zdający sobie sprawy z zakresu swych kompetencji i władzy. Więc jak zgłosili się do niego z prośbą o przepustkę do Kieżmarku na Słowacji, pan wiceburmistrz, upojony swoją władzą, przepustkę wydał. Ładną przepustkę, z niemiecką pieczątką /Zarząd Miasta Nowego Sącza - przepustkę za granicę!/. Posterunek niemiecki w Orłowie, widząc pieczęć hitlerowską, posiadaczkę przepustki, podstawioną starszą babinę, przepuścił; jak również i wszystkich następnych podróżnych, którym przepustek wykonanych na wzór pierwszej dostarczyła już organizacja, bez fatygowania pana burmistrza. Obecnie otrzymali z gminy poufną wiadomość, że to się na przyszłość nie uda, ale ci co przeszli, to przeszli.

W dniu przybycia do Nowego Sącza miasto miało moment ulgi, bo zmienił się garnizon. Przyszli Austriacy - stare dziady, pamiętające jeszcze uprzednią wojnę. Administracja z ich przyjściem wprawdzie się nie zmieniła, rządzi nadal Gestapo i S.S., ale nie ma z ich strony maltretowania ludności na każdym kroku. Widocznie reżym hitlerowski, dla którego nie zdradzają zbytniego entuzjazmu, nie przekonał ich że są "nadludźmi", bo zachowują się jak "zwykli" ludzie. A w kawiarni lub barze, po rozejrzeniu się i stwierdzeniu, że nikogo niepowołanego w pobliżu niema, wdają się, o zgrozo, w rozmowy z Polakami i wzdychają "co to jeszcze będzie, co to będzie".

Po trzech dniach spotykamy się znowu w barze i dowiadujemy się, że samochód przybył i przyjechało po nas dwuch górali. Mamy kolejno, w partiach, jechać do pewnego miejsca, skąd pieszo przez góry przejdziemy 18 kilometrów do Szczawnicy.

Przed odjazdem profesor zapoznaje nas z szóstym uczestnikiem wyprawy, kolegą jego, podporucznikiem rezerwy Pyzalskim. Nie jest on zasobny, ale jest dzielny chłop. Ruszamy ja z Jurkiem i Tomkiem naprzód z jednym przewodnikiem, a potem auto przywiezie resztę z drugim. Po przybyciu na umówione miejsce ruszamy od razu pod górę i pomimo stałego wznoszenia się, osiągamy grań w dobrym czasie.

c.d.n.

Nowe zdobycze medycyny.

Jeden z brytyjskich lekarzy drukuje od czasu do czasu swoje ciekawe spostrzeżenia na tle wypadków wojennych i związanej z nią pracy chirurgicznej i lekarskiej. Pisuje on pod pseudonimem James Harpole. Poniżej streszczony artykuł opublikowany był w Sunday Graphic p.t. "THE ANGRY DOCTOR".

Pewnego razu dr.O'Connor doniósł mi telefonicznie o wypadku jego syna w czasie nalotu na Bristol, w którym odniósł skomplikowane złamanie nogi. Opowiadanie jego wprowadziło mnie przy tym w ogromne zakłopotanie.

Dr.O'Connor jest znanym w Bristolu lekarzem, posiada dobre serce, ale jest bardzo popędliwy.

"Proszę sobie wyobrazić , że młody chirurg, który operował mego chłopca miał czelność powiedzieć mi,iż moje wiadomości w zakresie leczenia ran, są przedpotopowe, a wszystko, czego się uczyłem o antyseptykach, wymaga całkowitej rewizji".

"Cóż się złego stało"? spytałem miękko mego przyjaciela.

"Wszystko jest nie w porządku", wykrzyknął przez telefon dr.O'Connor. Naprzykład bandaże chłopca są przesiąknięte ropą, a ten młodzieniec nie zgadza się na ich zdjęcie i zmianę."

Wyszedłem, ażeby się zobaczyć z lekarzem w szpitalu. Był to młody człowiek, wytrawny chirurg-ortopedysta, nazwiskiem Meadows. Tak, jak podejrzewałem, chirurg zastosował nowy środek opatrunkowy, znany pod nazwą "Trueta".

Nie ździwiłem się przeto zdenerwowaniu O'Connora, gdyż jeszcze cztery lata temu większość brytyjskich lekarzy odczuwałaby to samo. Dr.Trueta kompletnie zrewolucjonizował poglądy na leczenie wszelkich ran.

Zaczęło się to w Barcelonie, gdzie świetny kataloński lekarz pracował w szpitalu, należącym do republikańskiej armii.

Uprzednio ranę, spowodowaną przez bombę lub też skomplikowane złamanie, trzeba było czyścić i dezynfekować skrupulatnie przy pomocy antyseptyków, stosować specjalne opatrunki, a najgorsze, że nale-

żało powtarzać to codziennie, pod groźą możliwego zakażenia i to aż do czasu, póki rana się zupełnie nie zasklepiła.

Tymczasem dr. Trueta pokrywał złamane członki ciała lub rany sztywnym plastrem, owijał to paryskim bandażem i pozostawiał je w takim stanie w ciągu tygodni.

Gdy te plastry zdejmowano po pięciu czy sześciu tygodniach, stwierdzono, że rany pod spodem są zdrowe i czyste i goją się szybko.

Brytyjscy lekarze odnosili się do tego z wielkim sceptycyzmem aż do chwili ewakuacji z Dunkierki, gdzie setki rannych ludzi opatrzonych było na plaży i na okrętach w powyższy sposób. Czuli się oni nie tylko nie gorzej, ale nawet lepiej.

W chwili obecnej metoda leczenia ran dra Trueta przyjętą została w całym świecie.

W parę dni po wypadku wziąłem dra O'Connora do szpitala i odwiedziliśmy jego syna.

Dr. Meadows objaśnił doktorowi O'Connor technikę nowoczesnego sposobu leczenia.

Przede wszystkim otwiera się ranę i oczyszcza z wszelkich kawałków i martwych tkanek, ażeby pozbawić zarazki jakich kolwiek możliwości mnożenia się. Następnie przesypuje się ranę proszkiem sulfanilamidowym, zabijającym wszelkie zarazki, jakie by mogły w ranie pozostać. Ranę zapycha się sterylizowaną gazą, która osusza jej zagłębienie.

W końcu ranę obwija się specjalnym plastrem, usztywniającym ciało i nie pozwalającym na jakiekolwiek poruszanie się zrastających się części. Pozwala to pacjentowi na zmianę pozycji w łóżku bez bólu i trudu.

Opatrunku się nie zmienia, albowiem każde odkrycie rany może spowodować dostanie się nowych zarazków. Ropa, zbierająca się pod plastrem jest w rzeczywistości tylko białymi ciałkami krwi, zawierającymi serum i osłabione zarazki, które już przedtem się tam znajdowały.

"Ale jak pan może wiedzieć, że nie rozpoczęła się w ranie gangrena ? - spytał dr. O'Connor. "Przecież pan nie może zbadać rany pod plastrem"

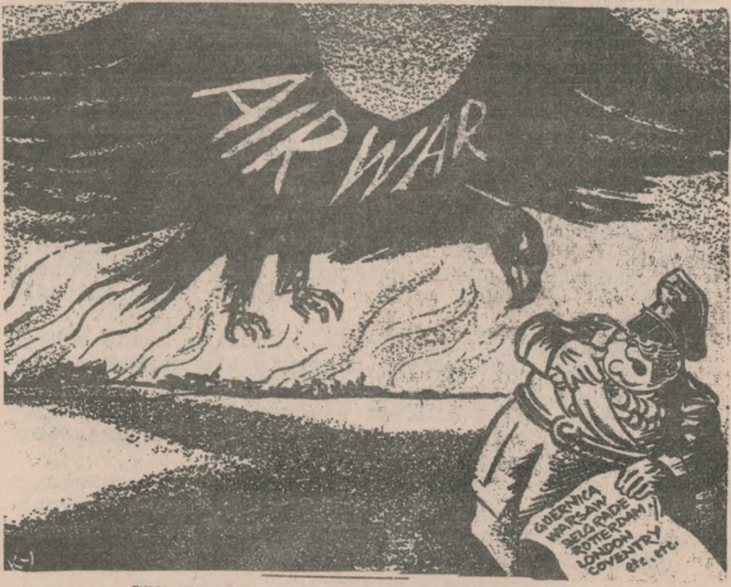
"Nie", odrzekł dr Meadows, "ale jeżeli chory nie

ma temperatury, nie odczuwa bólu, cyrkulacja krwi w palcach jest w porządku, a przy tym pacjent ma apetyt, to wszystko oznacza, że w ranie nic nie może być złego.

"Rzeczywiście" - odrzekł dr.O'Connor, "jest to zupełnie logiczne. A ty co o tym powiesz?" - zwrócił się do syna.

"Łaska Boska, że dostałem się do tego szpitala", odrzekł chłopiec. "Gdy przedtem opatrywano mnie i zmieniano bandaże, wiłem się po prostu z bólu. Nienawidziłem opatrunków, dopóki nie dostałem się w ręce doktora Meadows".

"Swietnie", rzekł dr.O'Connor miękko. "Byłem nieuprzejmy w stosunku do doktora Meadows, ale wobec tego, iż wykonuje on dobrą i pożyteczną pracę, muszę za to przesłać mu pudełko moich najlepszych cygar".



CENA NUMERU 6d. PRENUMERATA KWARTALNA 3/-
REDAKCJA I ADMINISTRACJA
43, BRUNTSFIELD PLACE, EDINBURGH, 10.
Tel. 53061.